

Пол/п
Р 339

RZECZY

Państwowy
Instytut
Wydawniczy



dmjtro pawłyuczko

Pawlyczko
Istota rzeczy

Dmytro Pawłyczko

Istota rzeczy
i inne wiersze

Wybrał i wstępem opatrzył
Florian Nieuważny

Państwowy Instytut Wydawniczy Warszawa 1980

Projekt okładki
ANDRZEJ BARECKI

Na okładce grafika
WOJCIECHA FREUDENREICHA

© Copyright for the Polish edition by
Państwowy Instytut Wydawniczy Warszawa 1980

ISBN 83-06-00458-2

Z różnych względów tomik wierszy Dmytra Pawłyczki powinien być ukazany w Polsce już dawno: nie biorąc nawet pod uwagę roli, którą Pawłyczko odegrał w przygotowaniu gruntu dla nowej fali ukraińskiej poezji radzieckiej przed dwudziestoma laty, należałoby uwzględnić jego wierność i rozkochanie w poezji polskiej, którą z talentem tłumaczy, komentuje i propaguje. Słowacki i Konopnicka, Tuwim i Broniewski, Mickiewicz, Norwid i Iwaszkiewicz — to tylko kilka przykładów translatorskich fascynacji tego utalentowanego liryka i satyryka z huculskiej wsi Stopczatów, gdzie urodził się 28 września 1929 roku.

Debiutował Pawłyczko w 1951 roku jeszcze jako student wydziału filologii Uniwersytetu Lwowskiego. W 1953 roku ukazał się pierwszy tom wierszy *Miłość i nienawiść*. Tytuł ten, wyznaczający granice emocjonalnego napięcia, posłużył poecie jeszcze nie raz jako nazwa zbioru poetyckiego. Kolejne tomy, w których obok wyraźnej publicystyki poetyckiej, usiłującej odpowiadać na potrzeby czasu, coraz częściej zjawiały się motywy refleksji nad własnym rodowodem — społecznym, literackim i emocjonalnym, wykazywały dość istotne zmiany poetyki, wyzwalającej się stopniowo spod dyktatu tematycznego. Były to tomy *Moja ziemia* (1955), *Czarna nitka* (1958), *Bystry nurt* (1959), *Dzionek* (1960), *Na warcie* (1961), *Gałązka palmowa* (1962), *Gest Nerona* (1962), *Płatki i ostrza* (1964).

Ważkim i znaczącym wydarzeniem w poezji radzieckiej

stał się tom Pawłyczki *Szlifierz słowa* (1968), dedykowany Maksymowi Rylskiemu, którego pracę i poszukiwania Pawłyczko usiłuje z powodzeniem kontynuować na wielu polach działalności literackiej. *Szlifierz słowa* ukazał pełnię możliwości jego autora. Poeta jest tu samym sobą bez wewnętrznych, stawianych samemu sobie zapór. Przemówił tu zarówno jako poeta-obywatel, jak i poeta-intelektualista oraz jako wrażliwy liryk, który nie lęka się odsłonięcia swoich przeżyć, ponieważ wie, że istnieje jakaś nadrzędna siła zmuszająca do takiego kształtowania świata w poezji, jakim jawi się on wzrokowi poety, a co najważniejsze — słuchowi.

W sonecie „Gdybym utracił oczy, Ukraino, to mógłbym żyć...” poeta wyznał:

Lecz głuchoty nie mógłbym przetrzymać...

Gdybym nie słyszał macierzystej mowy —
To byłaby zagłada — moja śmierć.

Ze skłonności do melosu, oddawania przewagi wrażeniom słuchowym nad wzrokowymi wynika, być może, skłonność Pawłyczki do tekstów nasyconych elementem pieśniowym, a pieśń *Dwa kolory* zdobyła sobie dużą popularność nie tylko na Ukrainie. Chodzi zresztą nie o skłonność do pisania tekstów piosenek, lecz o głęboką tradycję poezji ukraińskiej zakotwiczoną ją w żywiole muzyki. Tę tradycję przejął Pawłyczko od swoich bezpośrednich nauczycieli — Iwana Franki i Maksyma Rylskiego.

Od *Szlifierza słów* zaczyna się krystalizowanie lirycznego talentu poety przy równoczesnej wzmożonej dyscyplinie formalnej wiersza, najczęściej sonetu, pieśni, rubajaty czy ośmiowiersza. Świadczą o tym najciekawsze zbiory poetyckie: *Tajemnica twojego oblicza* (1974), *Sonetny podolskiej jesieni* (1975), *Miłość i nienawiść* (1975 — tom wierszy zebranych), *Sonetny* (1978), *Utwory wybrane* (1979).

Zainteresowania Dmytra Pawłyczki nie ograniczają się do poezji, choć tu dokonał najwięcej, wnosząc swój niezaprzeczalny wkład w rozwój poezji ukraińskiej ostatniego dwudziestolecia nie tylko jako oryginalny twórca, lecz także jako długoletni redaktor miesięcznika „Wseswit”, wnikliwy i wymagający krytyk poezji, pełen temperamentu eseista czy znakomity tłumacz poezji polskiej, słowiańskiej w ogóle, włoskiej, hiszpańskiej itd.

Najważniejszym jednak aspektem działalności Pawłyczki była i pozostaje nadal poezja. Wszedł do niej ze świadomością więzi z poprzednikami i współczesnymi, wśród których oprócz wspomnianych patronów i nauczycieli należałoby wymienić Małyszkę i Antonycza, Mysyka i Krymskiego, a może Jarosława Hałana i poetów lwowskich „Wikon”. Jak niegdyś Szewczenko, Franko, Ołeś, tak dzisiaj Pawłyczko bierze często do ręki „bicz Juvenała” i wdiera się do aktualnych spraw życiowych wierszem satyrycznym, inwektywą czy wezwaniem.

Chcąc dotrzeć do istoty twórczości poetyckiej Pawłyczki,

obnażylibyśmy w niej myśl o pełnej ofierze słowa w imię najwyższych wartości — prawdy, dobra i piękna. Będzie to także uświadomienie konieczności pracy, wysiłku, mozołu, zrozumienie potrzeby łączenia w słowie poetyckim ratio i emotio. Będzie to maksyma, wyrażona w wierszu *Navigare necesse est!* a kontynuująca idee, wypowiedziane przez Łesię Ukrainkę w *Contra spem spero* czy przez Iwana Frankę w *Semper tiro*.

W twórczości Dmytra Pawłyczki mamy zatem przykład udanego połączenia nie tylko tradycji polegającej na ustawicznym doskonaleniu znanych już i, zdawałoby się, spetryfikowanych form poetyckich, jak sonet, lecz także w prezentowaniu nowych, właściwych tylko poecie, ujęć wielu zjawisk życia i literatury współczesnej, w ujawnianiu dźwięczności i urody ukraińskiego słowa poetyckiego, wyrastającego z rodzimej i europejskiej gleby.

Florian Nieuważny

Nie ma takiego chleba na ziemi,
Jak ten, przez moją matkę wypiekany
Na liściu grochowym w tamtym piecu
Głębokim jak tunel koło Jaremcza.

Jak niebo gwiazdami — chleb matczyny
Obsypany był ziarnami kminku.
Wołał i wabił mnie z daleka
W dzień święta zapachów w naszej chacie.

Nie pachnie mi *bread*, ni *Brot*, ni *pain*,
Bogactwo mnie nie czeka, bo me życie
Zmieściło się w małym słowie chleb.

Żyje w nim matka, dawno zmarła,
Szumi groch, co deszczowego lata
Usechł, opodatkovany, z udręki.

Jerzy Płeśniarowicz

Miłości moja, tyś jak bóg —
Ja już nie wierzę, że istniejesz.
Pośród bezliku ziemskich trwóg
Zgubiły twoje imię dzieje.

Lecz ciągle jestem twoją częścią,
Choć to przed sobą samym kryję,
Choć nie w modlitwie lecz w przekleństwie
Zgaduję teraz twoją siłę.

Surowa w swej prawości, sądz
Łagodnie niedowiarstwo me.
Zjaw się, błogosław, ogrzej, bądź,
Jeżeliś jest, jeżeliś jest.

Jan Czopik

Widziałem ciebie dzisiaj
Wśród dziewcząt z piątej klasy.
Podobna jesteś do nich:
Jak źdźbło cieniuteńka,
Wokół którego skakanka
Warczy niby śmigło.

Widziałem ciebie dzisiaj
Wśród młodych narzeczonych.
Podobna jesteś do nich:
Białe czoło zdobione piegami,
Wokół którego jaśniej
Aureola macierzyństwa.

Widziałem ciebie dzisiaj
Wśród siwookich stareńkich babuś.
Podobna jesteś do nich:
Ul przezroczysty z miodem,
Wokół którego latają
Wspomnienia niby pszczoły.

Florian Nieważny

Dziewczęcych linii doskonałość
To samolot i łuk napięty.
Przyszła do mnie z jesieni, cała
W czarodziejską mękę zaklęta.

Po łono od piersi strzelistych
W ciszy rozpina swą sukienkę.
Jak na dłoni kula przejrzysta
Leży piękna — straszna i piękna.

Józef Lenart

Moja ty grzeszna i bez winy,
moja ty lilio nad bagniskiem,
cudze uściski jak cekiny
pozejmowałaś przy mnie wszystkie.

I znowu oczy masz dziecięce,
których cień żaden nie przesłania.
A ja się czuję potępieńcem
w obliczu twego nieskalania.

Czyż tak znużona twoja dusza,
że już pokutą się zaprzęta
i do wierności się przymusza
jak do wędzideł i chomąta?

Dlaczego wstydem dzień nasycy,
gdy noce pieszczotami karmią?
Dlaczego jabłek z drzewa życia
nie pozwolono rwać za darmo?

Czy na wygnaniu ci sił starczy,
by na kamieniach rodzić synów
tutaj, gdzie od miłości starszy
jest mozół, a chleb od bursztynów?

Pójdiesz? Klejnoty weź przynajmniej
Ze sobą, nie zgub ni okrucza.

A uprząż moją sama na mnie
narzucisz jak na kłapoucha.

I będziesz jechać na człapaku
po ścieżkach stromych i ciernistych
i strzelać do niebieskich ptaków
dwojgiem swych ślepi połocistych.

A ja cię będę czcił i pragnął
za to, że śmiałej twojej istoty
nie pokalało ani bagno,
ni nuda wymuszonej cnoty.

Za to, żeś z paszczy węża wzięła
i mnie do rąk podała owoc,
w którym był sen i radość dzieła,
i dzień jutrzejszy z twarzą nową.

Jerzy Litwiniuk

W koniczynie brodzą bociany
I nie widać czerwonych nówek,
Tylko widać białe kuperki
Chwiejące się i niedosiężne,
Niby papierowe okręty,
Com je chłopcem puszczał na wodę...
Jak mam wyrazić tę radość?! —
Biała flota do mnie powraca
Z dalekich krajów dzieciństwa
I wiezie kosztowne ładunki
W wysokich lukach okrętów.
Więc wdzieram się w morze zielone
Z balastem butów i odzieży
I czekam, czekam niecierpliwie,
Wyciągnąwszy nad morzem ręce.
I będę na pewno przystanią,
A mogę być dźwigiem portowym
I mogę być miastem ogromnym,
Co wychodząc statkom naprzeciw,
Diamentami szczęścia się mieni.
Ale co to? Moje fregaty
Podniosły czarno-białe skrzydła,
A z różowej morskiej kipieli
Wychynęły czerwone nóżki,
A podmuchy skrzydeł bocianich

Mrozem zwarzyły me oblicze...
Stoję w koniczynie i widzę,
Że to moje życie tak znika,
Niby ptak w przyjrzystym błękiecie.

Florian Nieważny

Przejrzystość

Po matczynemu jest łagodny, czysty
Ten dzień jesienny w blasku posrebrzonym.
Miodowy zapach płynie od tytoniu,
Na sznury nanizanych, schnących liści.

Jak morze szemrzą zorane zagony,
Leci nad nimi piosnka traktorzysty.
Na skibie dzwoni ziarno, płód złocisty,
Gdy się doń zbliżą palce ciężkiej brony.

Ze szkoły biegnie rozbawiona dziatwa,
Niepowstrzymana jak rzeka bez tamy,
Wiruje śmiech, w błękity hen ulata.

W powietrzu wisi trwożne rozedrganie,
Cieniutkie niby cień aeroplanu —
Igła ciągnąca nić za linię świata.

Olga Petyk

Szron

18

W nocy pojawił się szron na łopianach,
Na znużonym, zwiędłym kwiecie dzikich róż,
Powietrze błękitne przeszył niby nóż,
Zebrał się w brudach niby sól w saganach.

A dęby w srebrze zdobionych kaftanach
Stoją jak starzy wielmoże, z których kurz
Opada. Zastygłeś niby marmur już
W diamentach tanich, co wodą się staną.

Lecz dzień nadchodzi i świeże ponowy
Znikają chyłkiem z drzewa, z krzaków, z błota,
Jakby w nich krew zagrała purpurowa.

A hen na widnokregu wre robota —
To niby słońca ostre dłuta złote
Dla ciebie rzeźbią serce tam na nowo.

Florian Nieuważny

Łata wiatr po cichu zamieci sieć całą,
Wplątana w sosen korony i pnie.
A pod lasem krzaki jak'jelenie białe
Smutno rogami kołyszą we śnie.

Wpadł lis jak kometa raptem do ogrodu,
Czerwoną kitą pomachał i szczeł.
Śladu zajęczego niezbyt chytre kody
Odczytuje wolno myśliwski pies.

Florian Nieuważny

Wzgórza się w płachtach ukryły załośnie
Czając się tak jak w chowanego dzieci,
A ścieżka niby łoża winorośli
Po białej ścianie góry śmiało pnie się.

Sunie ziąb z lasu i zamieć się pieni,
Przez nią się gładkość śniegowa przewierca,
A znad nawianej zasy jak antena
Zajęcze uszy przerażone sterczą.

Florian Nieuważny

Śpiewały kobiety gdzieś daleko w polu,
Pływały pieśni w błękitnych niebiesiech,
A na ściernisku stał wieczór w tę jesień
Ozdobiony nowiem niby aureolą.

Jak ciche promienie na listkach topoli
We mnie marzenie wzbudziły te pieśni
I odczuwałem w gwiazd jasnej procesji
Mojego narodu radości i bole.

Leciały niby iskierki w kominie
Pozółkłe liście w ciemności pomroce.
Tonąłem w ogniu wiecznym, co nie ginie;

Wdychałem jak tlen śpiew kobiet uroczy
I wzlatywałem na złoty szczyt nocy,
A serce biło gwiazdą modrosiną.

Florian Nieuważny

Pieśń o Ukrainie

22

Ja do Dniepru przychodzę, by umyć spojrzenie,
By w ciemnościach nie zagasł żarzący się duch.
A znad gwiazd ciągle Taras wpatruje się we mnie,
Niby ojciec surowy, przewodnik i druh.

Fala Dniepru pachnąca kwiatami i sianem
I kołysze się w stepie i w dal sinąmknie,
Ukraino, ty moje bezbrzeżne kochanie,
Przecież tobą wciąż żyję na jawie i w śnie!

Jako gwiazda w głęboką, czerń nocy wrzucona
Przepadnę bez ciebie w mgłę szarego dżdżu,
A miłością ku tobie ja wszystkie plemiona
Jestem zdolny ogarnąć i sercem je czuć.

Wraża się siłą długo nad tobą pastwiła,
Że jęczałaś w niewoli, w jej letargu złym,
Nieśmiertelność wieczysty znak w duszy wryła,
Gdy, jak kule, przeze mnie leciały twe łzy.

Duch mój wolny wraz z tobą, ty mocy odwieczna,
Ku przestworom braterstwa szybuje przez mgły,
Tam jaśnieje twój szlak, mój narodzie, jak świecznik,
I jak pieśń twa natchniona złości się skrzy!

Olga Petyk

Pod wierzbami na wzgórza skłonie,
Gdzie im brzuchów sięgają pokrzywy,
Smętnie łbami kiwają konie,
Jak podpici druhowie nad piwem.

O dalekich mówią pochodach,
O czaprakach złotych i siodłach,
Spoglądając na te zagrody,
Kędy młodość blaknąć tylko mogła.

Im tylko śniły się strzemiona
Jak łuki tęczy nad chatami,
Grzywy nie w szarżach im szalonych
Zetlały, lecz pod chomątami.

Odurzający zapach ruty, mięty,
Słońce barwy w rozkoszy odmienia.
Im wymoczone rosami pęta
Przegryzają do kości golenie.

Much dokuczliwych brzęczące roje
Spędzam gałązką. Rany zioną bólem.
Im, zharowanym, gdy tak stoją,
Niedługi żywot wróżą zazule.

Ostatnie lato idzie łąkami,
Mosiężne dzwonią krowie dzwonki —

I płaczą konie za latami,
Które świstały batogami
I wystrzępiły się jak postronki.

Józef Lenart

Z drewnianą kulą kuśtykała matka,
Ciągnęła sanki z dzieckiem, umęczona.
Od szczęśliwego uśmiechu gagatka,
Niczym od słońca, oślepiłem na moment.

Ukryłem w dłoni swe oczy bezbronne,
Ale proteza skrzypiała łagodnie
I było słycać, jak pada na skronie
Ten śnieg, którego nie potrafię odmieść.

Florian Nieuważny

Żrebię

26

Wolnym stępem idą siwe konie,
Do pogrzebnego wozu zaprężnięte.
Gospodarz szesał im na oczy grzywy,
Żeby drogi na cmentarz nie zapamiętały.

Ale zza grzywy konie trochę widzą,
Udają ślepe, by nie smucić ludzi.
Ich dobroć nie łagodzi rozpaczy,
Ich mądrość nie rozwiewa żalu.

A obok wozu krąży małe źrebię.
To smyknie przygarść lucerny spod trumny,
To znów podbiegnie ssać wymię matczyne.

I zarży nagle, to bryknie ukosem
I pod kopytem źrebięcia zadźwięczy
Łza czyjaś, która już poweselała.

Jerzy Pleśniarowicz

Chciało się pastuchowi usłyszeć głos Boga
w płonącym krzaku, więc zapalił
malutkie drzewo suchego jałowca.
I buchnął w górę ogień niczym granat.

Zajęła się płomieniem leśna gęstwa
i pastuch się przeraził, że pogina
piskłęta w gniazdach, których chyba
wcale nie ma było dookoła.

Rzucił się do gaszenia, lecz niestety,
rzucił za późno. Wszystko się spaliło.
Bóg milczał. Widać innego ukochał.

Nie doczekawszy objawów miłości,
z niecierpliwości, przekłęci fałszywi prorocy,
skazaliście na stos miliony skrzydeł.

Jan Czopik

Most

28

Wiosenna rzeka, niby gilotyna,
spiętrzoną krą ścinała jego mocny kark;
łamała mu taranem obojczyki
sierpniowa ciżba powodziowej fali.

Nie raz pod serce kładli mu dynamit
i już wzlatywał dziecięcym latawcem...
Bywało — tylko pale zostawały,
niczym odbicie księżycy pod wodą.

Ale odradzał się po każdej klęsce —
beton pokrywał filary i belki,
ze zgniłych śladów wyrastała stal.

Na nim pojąłem wreszcie tajemnicę
nieśmiertelności: wstaje w niebo z martwych
rozpięty most; jest częścią wiecznej drogi.

Jan Czopik

Wędruje robak na oślep skroś jabłko,
jasnego świata nie szukając wcale.
Sam sobie drogi wyžera i przejścia,
pełznąć zjadliwie przez jądło do jądła.

Gdy przed nim błysnie choćby ledwie-ledwie,
jak ranne słońce, cieniutka łupina,
natychmiast wraca do słodkich ciemności
wciąż złocistego na zewnątrz owocu.

Dzwony ziarenek bijące na alarm
głuszy powoli, ale nieuchronnie,
bo ciszę kocha bardziej niż pomrokę.

Doszczętnie niszczy żywy rdzeń owocu,
ażeby jabłko, które mu przypadło,
nie odrodziło się już nigdy w dźwięcznym drzewie.

Jan Czopik

Nie zbraknie desek, żeby miarę wziąć
Na trumnę, tak jak niegdyś na kołyskę.
Kołyska moja służy innym ludziom,
A trumna — to już osobisty sprzęt.

I słów nie zbraknie, by wyrazić żal,
Bo i na pieśń wesołą ich nie brakło,
Ale czy wezmą pieśń ode mnie ludzie
I czy zaginie ze mną smutek mój?

Jak trudno jest wyciosać taką pieśń,
Co jak kołyska z rodu w ród przechodzi
Spod oczu matki wznosząc aż do gwiazd.

I trudno, tłumiąc w samotności płacz,
Własną zgryzotę dla siebie zachować
Nie do podziału — podobnie jak śmierć.

Jerzy Litwiniuk

Przyjechała siostra.
Przywiozła mi walizkę jabłek
I serce skarg...
Odpocznij, moja siostrzyczko, odpocznij!
Dziwnie spojrzała na mnie,
Zrzuciła wielkie juchtowe buciska,
Pod głowę podesłała sobie waciak,
Pierś dłońmi na krzyż okryła jak panna
Broniąca się przed zalotami smarkaczy
I usnęła.
Odpocznij, moja siostrzyczko, odpocznij!
Usiadłem u jej stóp i zapłakałem
Jak nad nieboszczką...
Wówczas wszedł niskoczoły mężczyzna
W jej butach wyczyszczonych przez lokajów,
I zagrał na skrzypcach.
To ten, który ją bił i ciągnął za warkocz po
nie kończących się drogach.
Tak pięknie gra?
Wtem pękła struna.
Mężczyzna zerwał młody siwy włos z jej czola
I jął naciągać na swym instrumencie —
Skrzypcach z olbrzymiej czaszki zbudowanych.
Ciężko westchnęła siostra,
Znikł niskoczoły mężczyzna z pustymi oczyma,
A ja u stóp jej siedzący płakałem.

Łzy ciekły do wnętrza jej butów
I zląkłem się, że będą one gryzły
Jej stopy, już zawczasu postarzałe.
Odpocznij, moja siostrzyczko, odpocznij!

Jerzy Litwiniuk

Nigdy już nie wrócę z Oświęcimia,
Choć dobrowolnie tutaj się znalazłem.
Tutaj bućki obu córek mych
Mówią wydartymi językami.

Tu okulary poznałem na stosie
Pogiętych opraw i rozbitych szkieł
Po żyłce, co nią związał ojciec mój
Pęknięte wygięcie nad swym nosem.

Tu poznałem mej matki siwiznę
W stogu warkoczy po cieniutkim źdźble
Suchego promienia sianokosów.

Nie szukajcie w tym wierszu metafor,
Chyba że nie mieliście rodziców
I nigdyście dzieciom butów nie wzuwali!

Florian Nieuważny

Z nim razem cierpieć im raz jeszcze
Męki kochanków i wygnańców żale,
Gdy słów ich szukał w ojczystym rejestrze,
Myśl w ukraińskim szlifował kryształe.

Wczesnym lipcowym rankiem obaj wieszczce
Zeszli ze zwykłych miejsc na piedestale
I były łyzy ze spiżu, były dreszcze,
Kiedy pełnili wartę swą wytrwale.

I z nimi razem granicę przekroczy,
Na której nikt o paszport nie zapyta,
Gdzie tylko prawdę przyjmą, fałsz odtrąca.

I będzie ludom jaśniała w pomroczy
Gwiazda Maksyma Rylskiego, obmyta
Adama, Aleksandra łąką gorącą.

Jerzy Litwiniuk

Kochać swój naród! To znaczy w miłości
Chodzić u dyszla niby koń w chomącie.
Cóż to, że co dzień wpija się do kości
I garbem wzdyma dumny grzbiet piekącym.

Ni słowa skargi na bicz, kiedy chlasta,
Na dróg bezwodność, stromizny i błota.
Ciągnąć z uporem swój wóz drabiniasty,
Snopy nadziei na bochenki złote.

Łba nie odwracać w zwątpieniu i trwodze,
Choćby pół świata na grzbiet ci włożono
I w zenit bólu targano za wodze.

Kopyta zaprzeć w smutek rozżarzony
I jeszcze pszczoły nie zmiażdżyć na drodze,
Gdy schną jej z deszczu skrzydełka zmoczone.

Józef Lenart

Chwała słońcu i rannym rosom
Roziskrzającym w trawie dzień.
Hańba zgnuśniałym Małorosom —
Nie dostukał się do nich Montaigne.

Gdy ich nawiedzał w czarnym żupanie
Z czołem podniebnym kozacki syn,
Precz go z majątków i plebanii
Gnali, jak kundlem gardząc nim.

Wyłamał wtedy kostur z płota
I wężozami ciemnymi szedł
Łaciny uczyć dziatwę gołoty,
Jej pańszczyźnianą wzburzać krew.

W chatach dobrem i dymem spowitych,
Dostojnie siwy stawał u drzwi,
O dach dla Platona i Demokryta
Prosił, jak chleba, gdy przemógł wstyd.

Stateczni chłopci oparci o ściany
Otaczali go, milcząc — i tu
Łby episkopskie tłukł jak dzbany
W drobne skorupy mocą słów.

Nie odnaleźć nam szczęścia ojczyzny,
Gdy trądem tknięty ludzki ród.
Biblię, jak rzekę w pustyń jałowiźnie,
Przepływał wpływ, przechodził w bród.

Na zmię trafiał rybę chcąc złowić,
Węże czepiały się rąk i nóg.
Nad świętym kłamstwem Marii się głowił —
Czy kłamstwo mędrzec przebaczyć mógł?

Temu, co małe, większe zagrozi —
Prawda jest wiecznym istnieniem traw.
Gdy w serce zajrzysz, serce ci zmrozi:
Zwierzę tam leży i bóstwa ma twarz.

Wołu więc mędrzec wiązał postronek,
Czy Boga wiązał pośród stad?
Cząsteczka świata w czaszce się chroni,
A w sercu ludzkim — cały świat.

Mimowiednie rodzimy się, w mroku
Szukamy prawdy, choć wzbudza strach.
Nad człowieczeństwem, jak nad potokiem
Schylał się, widać wszystko do dna.

Topnieją resztki śniegu w pobliskach błękitu,
Od Dniepru słodko wieje i słońce przygrzewa,
Wznoszą hałas dzieciaki i ptactwo na drzewach —
Rozbłyskany tłum oczu, jak rój gwiazd obmyty.

Niepostrzegalny oto prąd, jak Bóg w sanskrycie,
Już rozświeca kasztanów ciemniejące kłosze,
Ku dobroci i światłu myśli mnie unoszą,
A w ramion rozpostarcia jest skrzydeł odkrycie.

Wiosna. I przyzywają mnie znowu niebios
Tabunami obłoków — mknących białych koni,
Których światłość młodości lub wieczność dosiędzie —

Lecz idę i już biegnę, już jestem w rozpędzie...
A siwizna? Siwizna tylko na mej skroni
Rozbrzęczała się niby rozzłoszczona osa.

Józef Lenart

Jam twoim drzewem, Ukraino,
Gdy przyjdą piła albo topór —
Kolan nie będę wszak ugiął,
Lecz runę, spalę się na popiół.

Moja zieloność kipi jara
W błogosławionym ciepłe złotym,
Rozgałęziają się konary
Za stare i pogniłe płoty.

Za betonowe ogrodzenia,
Mury, co bitym szkłem migocą...
Na dróg wszechludzkiem rozwidleniu
Składam troskliwie swe owoce.

W mej korze durnie, kpy kalekie
Swoje imiona wyrzynają,
Nie wiedzą, że to ty na wieki,
Ty sam. ochrzciłeś mnie, mój kraju.

Korzeń mój źródła znaleźć zdołał —
Stamtąd kozackich rzek początek,
Lecz ssie tęsknota jak jemiola
Mą krew rok cały, w świątek — piątek.

Umiem milczeniem ust zuchwałych
Zdradzieckie ciosy odwzajemniać
I smutno mi, że lat niemało
Opadło ze mnie nadaremnie.

Wiatry zdradzały mnie wiosniane:
Miast całusa — błysk noża gładki,
Mróz mi wybijał o świtanie
Białe zęby puszystych płatków.

Nie przyłączam się swoim smutkiem
Do strach budzącej nocnej zjawy,
Lecz gdy ci słońce lśni jaśniutko,
Cień na ciebie rzucić mam prawo.

Do gałęzi moich przejrzystych
Ptaki zlatują się z ochotą.
Świecą pieśni jak gwiazdy czyste
W samej głębi mojej istoty.

Z twoich nocy czarnych, zwodniczych
Wpada w żyły wesoły piorun
I gałązki moje słowicze
Twym płomieniem buchają sporym.

I niebiosa z tobą zwiąawszy,
Jam nie wieczny w sferze nadzieimnej,
Jestem wszakże w tobie — na zawsze,
Jak ty jesteś — na zawsze — we mnie.

O moja ziemió barwinkowa,
Nas nie rozerzną, nie rozetną,
Nawet gdy dręwnem opałowym
Obcym sprzedadzą mnie dyskretnie.

Znów wyrosnę z ognia olbrzymem,
Nad śniegami przeleczę snadnie
I powrócę kłębamii dymu
I na twoje trawy opadnę,

Na twoje trawy nawozem...

Florian Nieuważny

Czereśnia, jak ta matka, trwa u drogi.
Żyłaki znaczą czarne wiejskie nogi.

Koszula na niej bieli się obficie —
Koronka cała w wiosennym błękiecie.

Niegdyś bywało — ta dobra drzewina
Trzymała mnie na rękach, niby syna.

Wielu nas było — jej wrzaskliwej dziatwy —
Choć chciałbyś, wszystkich wymienić niełatwo.

Ona, schylając swe zielone skronie,
Dawała jagód nam sutki czerwone.

Wisieliliśmy na niej, niby roje pszczele,
Przybieraliśmy z jej mleka na ciele.

I wdzięczni naszej czereśniowej doli,
Huściliśmy się w jej gęstwie do woli.

Gdy gazda do nas gnał z lachą sękatą,
Rozpierzchaliśmy się cizbą skrzydlatą.

A zaperzony gazda w ślepej złości
Łamał jej, biednej, swoją lachą kości.

Niech lepiej darmo to, co moje, zginie! —
I krew jej lśniła jak bryłki bursztynu...

Stoi o świcie w smutek-żal spowita,
Jak biała chmura promieniem przesyta.

Uchylam kapelusza. Nie poznaje.
— To ja, czereśnio, twój chłopczyk i krajan.

A ona strząsa rękawem łzę siną.
— A gdzieś tak długo zabawiał, mój synu?

Florian Nieuważny

Przyglądaj się swym dłoniom uważnie,
myśl, komu je z niechęcią podałeś i kiedy,
przypomnij sobie wszystko, co czyniłeś z nimi—
dobrze, jeśli nigdy nie zadrzą
z nienawiści do ciebie twoje własne palce.
Przyglądaj się swym dłoniom uważnie,
trwają w ich liniach ojca twego nawyki,
on umiał myśleć nawet odciskami,
gdy zwierzał pięści oko w oko z krzywdą.
Pamiętaj, jak po raz pierwszy je sparzyłeś
w lodowatej wodzie nie opodal szkoły —
nauczycielka kazała je umyć!
Pamiętaj, jak po raz wtóry je sparzyłeś
na piersiach pierwszej swej miłości,
ostrych, jak różki bawolątka
ledwie wyklute nad ciemieniem.
Pamiętaj, jak po raz trzeci je sparzyłeś
na policzkach zdradliwej kobiety,
które spłonęły od twych razów...
Zapomniały już nieco, ale wybaczyły.
To dobrze, żeś ich nie uczynił
plagiatorami gestów
ludzi wewnątrz siebie skarłałych,
którzy wrzaskiem swoich rąk cherlawych
wspomagają myśli ubożutkie,

dobrze, żeś nigdy ich nie naglił,
gdy czadziły kłamliwe brawa.
Przyglądaj się swym dłoniom uważnie,
nie szczędź im pytań prostych i okrutnych:
czy uniosłyby się do góry
przed wrogiem śmiertelnym twego narodu?
Nawet w tej chwili, kiedy
lufę w twe czoło wyceluje
trzeba by słońce podtrzymać
nad całą Ziemią.
Nad całą Ziemią.
Ileż usprawiedliwień znajdą obłudnicy!
Lecz wylęknione rzeki zmieniają łożyska,
a w żyłach wylęknionych ścina się krew —
czysta w podłę się zmienia,
a podła w jad itd.
Przyglądaj się swym dłoniom uważnie:
oto, mimo twej woli, poruszyły się palce,
jakby nad nimi z wolna i tajnie
inne jestestwo przejmowało rząd
w twej przytomności, przyjacielu,
i w pełni władzy twego serca —
jest to,
jeśli chcesz wiedzieć prawdę całą,
niecierpliwość drzewa, które ma wyrosnąć,

jego pragnienie ziemi i korzeni,
i to już widać w palców poruszeniach.

Przyglądaj się swym dłoniom uważnie.

Józef Lenart

Czyż to serce
Nad morzem w samym środku nocy
Tak równomiernie trzepoce
I świeci z każdym uderzeniem?

Czyż to serce
Przykryte mokrej mgły kożuchem
Tak niezmordowanie trzepoce
I świeci z każdym uderzeniem?

Czyż to serce
Zwołuje na brzeg miłości
Zmęczonych i zapomnianych,
Spragnionych i niepokornych?

Czyż to serce
Wciąż posyła sygnały nadziei
W bezmiar pustki próżny i ciemny,
Nie oczekując odzewu, wdzięczności?

Stoję przeto, spoglądam
I rękę kładąc na piersi
Czekam, kiedy skroś dłoń mą
Przebije się błysk nieśmiertelny.

Jeżeli nie moje to serce,
Co tak równomiernie trzępoce
I świeci z każdym uderzeniem,
To po co w nim gromadziłem
Gwiazdy, co z nieba spadały,
Po co żyłem na świecie?

Florian Nieważny

Kościół. Przestronny, modny, duży.
A cmentarz — jak katastrofa.
Tu wicher za dusze limuzyn
Modli się do Sabaotha.

Żelazne wozów szkielety
Porozrzucane na kupy.
Trupy szosowej wendety,
Szybkości rdzawe trupy.

Przekonasz się tutaj skoro,
Co człeka z autem jednoczy:
Wyrwane serca motorów,
Reflektorów wypalone oczy.

Z oczodołów perz się wyłania,
Wśród kości wędruje plugastwo.
Pokryła rdza strupami
Nagą nadwozia czaszkę.

Nerwów już ból nie zasili,
Stalowy silnik nie śpiewa.
Z martwych automobili
Martwe wyrastają drzewa.

Nie wskrzeszaj na sąd ni razu
Umarłych mrocznej istoty,
Bo ziemię zaleje mazut
I ciebie, mój boże złoty.

Florian Nieuważny

1.

Błąka się czółno w gęstwie ciemności,
Czółno przystani szuka na oślep.
Skoś czarne chmury i sztormu złości
Światła nadziei brzeg ci nie pośle.

Deszcz batogami smaga po oczach,
Trzaskają góry nieba, w majakach
Widzisz jak podmuch wyspę potoczył —
Stanąwszy dęba, wzleciała ptakiem.

Co wtedy począć? Porzucić wiosła
I dłonie złożyć w błagalny gest?
Czekać, by fala w topiel poniosła?
Nie! Navigare necesse est!

2.

Dziecko w białacze gaśnie powoli,
Gwiazd spalenizną niebios zioną.
Serce się miota w piersi i boli —
Wali się świata sufit zwęglony.

Oto uśmiechu-ratunku czekasz
W noc spopieloną łzami kobiety
I w bok spojrzeniem ucieka lekarz:
Czy jest nadzieja? — Nie ma, niestety.

Cóż wtedy począc? Powróż na szyję
I zdławić protest, by w gardle szczeł,
Mózg, serce zgasić, ciemność niech wyje?
Nie! Navigare necesse est!

3.

Brat odstępuje od testamentu,
Łamie przysięgę złożoną w boju.
Gwiazdami innych już firmamentów
Nasyca głód swój, pragnienie koi.

Wdziękiem go zwabił i zauroczył
Świat kurwich szmatek, miraż, karnawał,
Niebawem ujrzysz jak los go stoczy
Pod chmur drapacze, na dno niesławny.

Już na ekranach w tym martwym raju
Jak w sieć go płaczą w zdradliwy test.
Cóż mamy czynić? Płakać, że łaje?
Nie! Navigare necesse est!

4.

Słońce drutują — jak zbite lustro,
Dymem spowite miłości słowo —
Śmierć prorokuje znów Zaratustra
I Lorca pada od kuli znowu.

Nienawiść kłuje spojrzeniem kruczym,
Prawdę z nas pragnie wydziobać do dna,
Skrzydła nam związać kolczastym drutem,
Chce duszę wstawić, jak oko, ze szkła:

A poligony siwieją kurzem,
Azbest błękitu spękany po kres.
Cóż mamy czynić? Z rozpaczny umrzeć?
Nie! Navigare necesse est!

Józef Lenart

Mnie, malutkiemu, kijek leszczynowy
Służył za konia, co się w galop rwał,
Ale pewnego zimowego dnia
Ojciec go zrąbał na drwa przypadkowo.

Teraz, gdy mnie już ściernisko nie dźga,
Gdym wsiadł na grzbiet osiodłanego słowa,
Dzwoni żelazny rym niby podkowa
I bystronogi koń za myślą gna.

Ty, czytelniku, wyraźniej zabaczysz,
Czy się pode mną Pegaz w biegu ciska,
Czy, jak w dzieciństwie, na kijaszku skaczą...

Nic mi nie szkoda słabych wierszy. Wszystkie
Weź śmiało niby zabawkę chłopaczą,
Do pieca wrzuć i grzej się przy ognisku!

Florian Nieuważny

-
- 5 *Florian Nieuważny*
Dmytro Pawłyyczko
- 9 Chleb (Chlib)
Jerzy Pleśniarowicz
- 10 Miłości moja, tyś jak Bóg... (Moja lubowe...)
Jan Czopik
- 11 Widziałem ciebie dzisiaj... (Ja baczyw tebe sihodni...)
Florian Nieuważny
- 12 Dziwczących linii doskonałość... (Diwoczych neporocznych linii...)
Józef Lenart
- 13 Moja ty grzeszna i bez winy... (Moja hrichownyce preczy-sta...)
Jerzy Litwiniuk
- 15 Bociany (Łełęki)
Florian Nieuważny
- 17 Przejrzystość (Prozorist')
Olga Petyk
- 18 Szron (Inij)
Florian Nieuważny
- 19 Łata wiatr po cichu... (Tycho witer lataje...)
Florian Nieuważny
- 20 Wzgórza się w płachtach ukryły... (Horby natiahnuły...)
Florian Nieuważny
- 21 Pejzaż (Pejżaż)
Florian Nieuważny
- 22 Pieśń o Ukrainie (Pisnia pro Ukrainiu)
Olga Petyk
- 23 Pod wierzbami... (W tini werb...)
Józef Lenart

- 25 Z drewnianą kulą... (Na derewjanomu protezi...)
Florian Nieuważny
- 26 Żrebię (Łosza)
Jerzy Pleśniarowicz
- 27 Niecierpliwość (Neterpeływist')
Jan Czopik
- 28 Most (Mist)
Jan Czopik
- 29 Zachłanność (Zachłannist')
Jan Czopik
- 30 Istota rzeczy (Sut')
Jerzy Litwiniuk
- 31 Buty (Czoboty)
Jerzy Litwiniuk
- 33 Oświęcim (Oswiencim)
Florian Nieuważny
- 34 Z nim razem cierpieć... (W joho żytti...)
Jerzy Litwiniuk
- 35 Kochać swój naród! (Lubyty swij narod!)
Józef Lenart
- 36 Skoworoda (Skoworoda)
Józef Lenart
- 38 Topnieją resztki śniegu... (Stiwaje snih...)
Józef Lenart
- 39 Jam twoim drzewem, Ukraino... (Ja drewo twoje, Ukrajina..)
Florian Nieuważny
- 42 Czereśnia, jak ta matka... (Czerezśnia, jak ta maty...)
Florian Nieuważny
- 44 Ręce (Ruky)
Józef Lenart

-
- 47 Latarnia morska (Majak)
Florian Nieuważny
- 49 Cmentarzysko samochodów (Awtomobilnyj cwyntar)
Florian Nieuważny
- 51 Navigare necesse est!
Józef Lenart
- 54 Mnie, malutkiemu... (Meni, małomu...)
Florian Nieuważny

Tytuły roku 1980

Günter Eich
Topografia piękniejszego świata

Forough Farrochzad
I znów powitam słońce

Silva Kaputikian
Drzewo orzechowe

Ivan Malinovski
Wiersze

Slavko Mihalić
Sen w świetle

Dmytro Pawłyczko
Istota rzeczy i inne wiersze

Steván Raičkovič
Pieśni ciszy

PRINTED IN POLAND

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980.

Wydanie pierwsze

Nakład 1000+315 egz. Ark. wyd. 1,3. Ark. druk. 3,75.

Papier druk. mat. kl. III, 71 g, 92×114 cm.

Oddano do składania w czerwcu 1980 r.

Podpisano do druku we wrześniu 1980 r.

Druk ukończono w październiku 1980 r.

Zakłady Graficzne w Toruniu

Nr zam. 1341. O-119

Cena zł 10,—



36/35

